

2.





Lwów 7. Lutego 1886.

Tygodnik beletrystyczny.

Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi:

we Lwowie rocznie 7 zł. 40 ct. — półrocznie 3 zł. 70 ct. —  
 kwartalnie 1 zł. 85 ct. Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. —  
 półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 zł. Za granicą rocznie 16. marek.

Adres administracji:

Lwów, ulica Jagiellońska l. 16. (Kantor „Drukarni Polskiej“).

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 ct. od wiersza petitowego.

Redaktor i wydawca **STANISŁAW MANIECKI.****ŁAMIGŁÓWKA.**

wa — ra — le — un — tja — wal — eu — po — son —  
 eje — ford — wel — ru — a — nie — ku — wni —  
 róg — i — na — ku — ni — nas — a — ter — pra —  
 so — le — da — se — ter — ka — na — pa — wa —  
 den — si — a — twa — ra.

1. Tytuł sztuki polskiej, granej u nas niedawno.
2. Tą opanowany, społeczeństwu tylko przeszkadza.
3. Robi się z mleka.
4. Kanton w Szwajcarji nad jeziorem 4. kantonów.
5. O tych w każdym sejmie naszym szeroka rozprawa.
6. Instytucje nader pożyteczne.
7. Miasto w Irlandji — stolica hrabstwa tego nazwiska.
8. Rzeka wpadająca do zatoki Trysteńskiej.
9. Sławny historyk polski.
10. Ta bez wielbłądów obejść się nie może.
11. Smaczny owoc i pismo.
12. Tak powiedz tej, która do dzisiejszej mody się stosuje.

Podwójny akrostych daje znane przysłowie polskie.

**Zadanie konikowe.**

		kanie	cie		
ję	bądź	wniej	zwy	re	lu
dnak	jest	za	nie	ja	cię
w wal	a	ja	pe	lub	o
gdy	gdy	lu	i	ka	przy

		ce	bez	ju	się				
dojść	pie	кто	z przy	ce	tem	w bo	nie		
wy	lwem	tku	czniej	nie	sio	ma	kre		
do	bra	ny	chwa	go	łbi	źnie	a	ną	pod
zwa	zu	twe	chcesz	mę	łym	gi	ca	i	le

**Rozwiązanie zagadek z 1go numeru.**

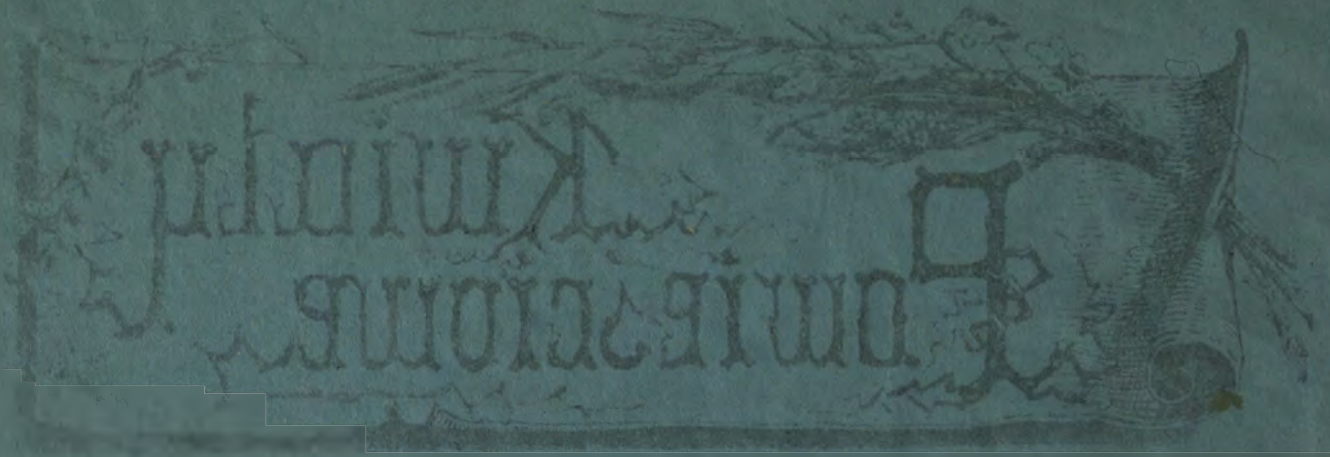
**Łamigłówka:** Stockerau — Yverdon — Toricelli —  
 Yonne — Gandzaburu — Łabanow — Orsini — Danae —  
 Nabuchodonozor — Ezofowicz — Moskitosy.

Początkowe i końcowe litery stanowią przysłowie: „Syty głodnemu nie uwierzy“.

**Palindrom:** Arak — Kara.

Jedynie dobre rozwiązanie nadesłała pani Żereczyńska z Krakowa, pod jej też adresem zostały dzisiaj wysłane cztery tomy powieści „Ogniem i mieczem“.

➡ Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczają się dla prenumeratorów „Kwiatów powieściowych“, **całoroczny abonament** na pismo humorystyczne „**SMIGUS**“. Nagrodę tę otrzyma pierwsze wylosowane rozwiązanie. ➡



**Tygodnik beletrystyczny** Lwów, dnia 15 marca 1901

Wydawca: Stanisław Mańkowski  
 Redaktor: Stanisław Mańkowski  
 Drukarnia: Drukarnia Wileńska w Lwowie

Wydawca: Stanisław Mańkowski

**Wskazywanie**

Wskazywanie jest to sztuka, która polega na tym, aby wskazać na coś, co jest przedmiotem uwagi. Wskazywanie może być wykonane na wiele sposobów, np. przez użycie słowa, gestu, obrazu, dźwięku, itp. Wskazywanie jest ważnym elementem komunikacji i jest niezbędne do zrozumienia tego, o czym mówimy.

Wskazywanie jest to sztuka, która polega na tym, aby wskazać na coś, co jest przedmiotem uwagi. Wskazywanie może być wykonane na wiele sposobów, np. przez użycie słowa, gestu, obrazu, dźwięku, itp. Wskazywanie jest ważnym elementem komunikacji i jest niezbędne do zrozumienia tego, o czym mówimy.

Wskazywanie jest to sztuka, która polega na tym, aby wskazać na coś, co jest przedmiotem uwagi. Wskazywanie może być wykonane na wiele sposobów, np. przez użycie słowa, gestu, obrazu, dźwięku, itp. Wskazywanie jest ważnym elementem komunikacji i jest niezbędne do zrozumienia tego, o czym mówimy.

Wskazywanie jest to sztuka, która polega na tym, aby wskazać na coś, co jest przedmiotem uwagi. Wskazywanie może być wykonane na wiele sposobów, np. przez użycie słowa, gestu, obrazu, dźwięku, itp. Wskazywanie jest ważnym elementem komunikacji i jest niezbędne do zrozumienia tego, o czym mówimy.



Lwów 7. Lutego 1886. **Tygodnik beletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi:

we Lwowie rocznie zł. 7.40 — półrocznie zł. 3.70 —  
kwartalnie zł. 1.85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł.  
półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 złr. Za granicą 16 marek.

Adres administracji:

**Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.**  
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca **STANISŁAW MANIECKI.**

## MARZĄCE FALE.

PÓWIEŚĆ

przez **WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy.)

— I dobrze, żeśmy zaczęli o tem mówić, bo chce ci panie Zarembo dokładnie przedstawić stan naszych interesów. Mówię naszych, a właściwie powinienem powiedzieć waszych, to jest twoich i twojego brata. Po śmierci waszego zacnego ojca wybuchła owa nieszczęsna wojna i zrujnowała was z kretesem. Wszak prawda? No, ale stary Miller wiedział co wam winien. Kiedy stary Miller przyszedł tu *aus Pommern*, to był taki biedny, taki biedny jak pies ostatni. I któż mu dopomógł? ojciec wasz. To stary Miller pamięta i pamiętał. Nie likwidowaliśmy się też wcale, ale ja was zasłoniłem moją firmą i moim majątkiem i wyratowałem. Winni mi jesteście jeszcze sześćdziesiąt cztery tysiące złotych, ale i te spłaciecie za trzy lata. Tak! tak! wszystko jest dobrze... Ja was zawsze kocham i o., tu mam obrazek jeden niemiecki, na którym stoi napisane: *Alte Liebe rostet nicht* — i ja go sobie tu zawiesiłem, żebym podniosłszy oczy, mógł wyczytać tę piękną maksymę.

Uśmiechnął się na te słowa melancholijnie Zarembo, podniósł swe oczy na obraz i nie odrzekł.

— Ale ja ci coś chciałem powiedzieć, panie Zygmuncie. Ty nie obrazisz się, że ci słowa prawdy powie stary przyjaciel twego ojca, stary Miller.

Zarembo spojrział na mówiącego, a w jego oczach zamigotał jakiś niespokojny błysk, a piękna twarz pokryła się lekkim rumieńcem.

— Słucham pana — wyrzekł, usiłując nadać swemu głosowi wyraz pewności i spokoju.

— Bo to widzisz, wy Polacy — mówił Miller, strząsając popiół z cygara — macie dziwną naturę. Jak Pana Boga kocham, dziwną! Zapalacie się do wszystkiego łatwo, ale jeszcze łatwiej stygniecie. Ja jakem był w Szwecji, widziałem tam jedno jezioro. Nazywa się, jeżeli mię pamięć nie myli, Mellar. Wszak jest takie jezioro w Szwecji?

— Jest, ale cóż to ma...

— Zaraz, zaraz, gorącoście wszyscy kapuśni. Otóż to jezioro w jesieni, jak wichry powieją, to się tak bałwani i takie ma wielkie fale, że aż strach. Zdaje się, że to morze, a to tylko jezioro. Fale płyną, pędzą za falami i sądzićbyś mógł, że wszystka woda z jeziora spiętrzy się i wyleje... Gdzie tam! przyjdzie mróz odrazu silny i masz wtedy widok jakiego nigdzie nie ujrzysz. Wszystkie fale tak jak się rwały i piętrzyły, tak zamarły. Otóż wy Polacy jesteście takimi marznąciami falami, po burzy niedawnej...

Wyrzekłszy to, puścił kłęb dymu i poprawił się na swym fotelu.

— Bardzo to jest piękne, bardzo nawet poetyczne porównanie — odezwał się na to Zarembo — ale radbym wiedzieć, dla czego mi pan to mówisz, panie Miller?...

— Dla czego ja ci to mówię? No, przecież ty nie masz, mój Zygmuncie, tępej głowy. Nie znalazłem zresztą szlachcica polskiego, któryby miał tępą głowę. Ale widzisz, ja ci to mówię dla tego, że kiedy już wybrnąłeś z interesów, to nie przestawaj żyć skromnie, nie bądź marznącą falą i nie myśl tylko o robieniu majątku.

Przerwał i ustał.

— Ale ja tu rozprawiam z tobą, a tam moja pani siostra niecierpliwi się. Kawa już musi być gorąca. Może też się napijesz ze mną kawy? Dawny to obyczaj niemiecki i dobry obyczaj. No, pójdziesz ze mną na górę?

— Dziękuję, ja jeszcze obiadu nie jadłem, spieszę do domu.

— Prawda, że to ty późno jadasz obiad. Nowomodne to, ale niedobre. O! jest list — dodał biorąc list z pulpitu. — Krewna moja pisze mi, że jutro przyjeżdża do mnie na stałe....

— Cóż to za krewna? — spytał oziębłe Zarembo.

— Mina. córka ciotecznej mej siostry. Ojciec polak umarł i matka jej teraz umarła. Cóż sama będzie robiła w Gdańsku? Zaprosiłem ją do siebie. Zawsze to krew Millerów, a przytem i krew polska; nie może być nic lepszego, jak mieszać krew niemiecką z polską. Ja widzisz wieczorami studjuję tę rzecz. Ciekawe to bardzo... No, nie idziesz ze mną?

— Nie, dziękuję.

— Więc do widzenia.

Uścisnęli się za ręce i wyszli. Zegar ukryty gdzieś w cieniu, wykukał trochę chrapliwym głosem piątą godzinę wieczorem. Na niebie gasły już blade blaski dnia zimowego i zapalano latarnie. W izbie zapanowała martwa cisza, tylko świerszcz wyszedł z pod pieca i jednotonnym swym głosem napelnił tę pustkę smutną i ponurą.

## II.

Po ciemnych i mocno wydeptanych schodach, wdrapał się Miller na pierwsze piętro. Kluczem, który miał w kieszeni, otworzył drzwi i z ciemnego przedpokoju wszedł do dużej izby, oświetlonej lampą wiszącą u sufitu. Na środku wznosił się stół pokryty czerwoną ceratą, a na nim w drucianym koszyku, leżały bułki i rogaliki, w szklankach zaś stała kawa.

Z po za stołu na odgłos kroków Millera podniosła się wysoka postać niewieścia i kładąc zaczęta pończochę i druty, wpatrzyła się w kupca. Blask lampy oświetlał dobrze jej twarz surową, ostro zarysowaną, bujne krucze włosy tu i owdzie przypruszone siwizną, jej wielkie siwe oczy pełne siły połączone z zimnym wyrazem, jej nos wydatny, ostry, jej usta nakoniec bezkrwiste i wąskie. Na całej martwo-białej i niepozbawionej pewnej poważnej piękności twarzy, malowała się surowość i siła raczej męzka niż kobieca.

Ubrana bardzo skromnie w czarną merynosową suknię, zapiętą pod szyję wysoko, o biuście bujnie rozrośniętym, stała z ręką wspartą na zaczętej pończosze, wpatrzona swemi wielkimi stalowemi oczami we wchodzącego.

Żółte światło lampy ślizgało się po jej kruczych włosach bez odblasku żadnego, po jej twarzy bladej, po jej ustach bez krwi, po jej szyi krótkiej i niepowabnej, nie zapalając nigdzie na tej postaci tych cudownych barw krwi i złota, które tak lubimy widzieć wieczorami w kobiecie. Była to postać, w ogóle mówiąc, ponura i groźna.

I całe otoczenie zresztą było dość pęsejne. Pokój był duży, o dwóch oknach, zasłoniętych ciemnozielonemi roletami, cały ciemnem obiciem pokryty, umeblowany w staroświecki, rzeźbiony w dębowem drzewie kredens i kilkanaście wysokich czarnych krzesel. Na ścianach wisiało kilka zczerniałych obrazów i wszystko to miało wygląd klasztorny, ponury. Nie było tu nic coby mogło rozweselić oko; żadnych barw, żadnych blasków.

— Spóźniłeś się dzisiaj, Fryderyku — rzekła do wchodzącego Millera kobieta głosem ostrym, surowym, bezdźwięcznym — kawa wystygła.

— Nie gniewaj się Joe, nie gniewaj. Robiliśmy rachunki całoroczne z Zarembo, a to zabiera dużo czasu. A przytem jestem bardzo wesoly.

Usiadł przy stole, założył sobie serwetkę pod brodę jak dziecko i z wewnętrznym zadowoleniem chwycił rogalik i rozłamał go na dwoje.

Joanna także usiadła i rzekła:

— Punktualność jest grzecznością nawet królów.

Na to Miller nie odpowiedział, spojrział tylko z ukosa na siostrę i jadł z wielkim apetytem rogalik, maczając go w kawie.

— Powiedźże mi Fryderyku, jaki dochód macie z przeszłego roku? — zapytała znów Joanna swym spokojnym, zimnym, suchym głosem.

— Czterdzieści sześć tysięcy trzysta dwadzieścia sześć złotych, groszy dwadzieścia! — wyrecytował Miller z pewnym zabawnym akcentem niemieckim.

— Wiele to jest rubli?

— Albo ja wiem! Wiesz że nie umiem liczyć na ruble.

— Złe robisz Fryderyku, muszę ci to jeszcze raz powiedzieć. Rachunek dziesiętny jest zawsze najlepszym rachunkiem.

Umilkła, nadrobiła sobie bułki do kawy i tak dalej pytała:

— Połowa tej sumy przypada Zarembo?

— Tak.

— A ratę odtrąciłeś mu?

— To się rozumie.

— Więc w ogóle interes idzie lepiej?

— Tak, idzie lepiej.

Zapanowało głuche milczenie. Z zewnątrz dochodził głuchy turkot życia miejskiego.

Joanna wypila kawę, odsunęła szklankę, wzięła z kolan pończochę w swe ręce suche, kościste, o długich palcach, ubranych w mitynki włóczkowe i zaparzona w swą robotę, zapytała:

— A teraz powiedz mi Fryderyku, czego byłeś wesoły?

— Ba! ba! ba! Joe, i ty się ucieszysz! Mam list od Miny.

— I cóż ci Mina pisze?

— Że przyjeżdża jutro do nas. Chciałem cię nawet prosić, byś kazała przyrzadzić dla niej zielony pokoik. Trzebaby tam trochę mebelków postawić, jaki stoliczek, jaką kanapkę... Z mego pokoju można będzie coś zabrać...

Mówiąc to, wypił kawę, obtarł usta, serwetkę mocno pomiętą rzucił na stół i wpatrzył się swemi małymi oczkami, pełnymi teraz radości, w siostrę. Ta nie odrzekła, tylko wrząc rzuconą na stół ciemno-burakową serwetkę, złożyła spokojnie i w milczeniu, z pewną właściwą sobie powagą i automatycznością ruchów pończochę na swych kolanach i sięgnęła po serwetkę. Wziąwszy ją do ręki, starannie rozłożyła na stole, wyprostowała liczne jej zagięcia dłonią i poczęła składać w trójkąt.

— Tyle razy ci, Fryderyku, mówiłam — rzekła po chwili — żebyś nie miał tak serwet. Pranie i prasowanie należy teraz do rzeczy kosztownych, do zbyteków prawie.

Wypowiedziawszy to wszystkim swym tonem suchym i bezdźwięcznym, odsunęła na bok nieszczęsną serwetkę i zabrała się do pończochy. W pokoju, w tej dużej i mrocznej izbie, zapanowało znów to głuche, melancholijne milczenie, przerywane tylko ulicznym turkotem wozów. Miller popatrzył przez chwilę na siostrę, z jego oczów znikł ów rozkoszny płomień, który je przez chwilę ożywił, a usta wyciągnęły się z wyrazem niechęci i niezadowolenia. Wstał z łoskotem, otrzepał rękami przód swego surduta z okruszków bułki i począł chodzić po pokoju. Wielkie jego kroki rozlegały się w tej ciszy, niby stąpania olbrzyma.

Nakoniec zatrzymał się, przysunął do stołu i wyjął z kieszeni cygaro, które począł starannie obcinać. Jego twarz dobrze teraz oświetlona żółtym światłem lampy, zachowała ciągle ten wyraz niechęci i niezadowolenia, jaki na niej zajaśniał po wysłuchaniu od siostry repremendy o ciemno-burakową serwetkę. Małe siwe oczka powleczone były szklistą, mętną jakąś powłoką. Z kieszonki od kamizelki wydobyl zapalnik i przytknął do szkła od lampy.

Ruch ten wywołał w Joannie drgnienie. Podniosła swe duże oczy z gniewem na zapalnik, buchającą purpurowym płomieniem, i miała już coś rzec, gdy nagle spojrzęła na brata.

Lekko przygryzła wargi i spuściła oczy na pończochę, której druty teraz z niezwykłą szybkością migać poczęły.

Miller zapaliwszy cygaro, puścił parę kłębow błękitnego dymu i chodząc wciąż po pokoju, mówił:

— Zdaje mi się Joanno, że ci już powiedział o przyjeździe jutro Miny.

Głos jego teraz był dziwnie spokojny i silny, ale zarazem miał całą suchość i całą surowość tonu, znamionującego głos jego siostry.

— Tak! — odrzekła Joanna, nie podnosząc oczów od pończochy.

— Dlaczego nie pytasz mię o więcej? Czy ci Mina jest obojętną? Wszak to córka jedynej twej krewnej?

Joanna przez chwilę milczała, a potem wciąż mając spuszczone oczy na pończochę, którą robiła z jakąś gorączką, bo na drutach migotały, niby błyskawice, zapalające się i gasnące blaski lampy, rzekła głosem nieco przytłumionym i drżącym.

— Niezwykła jestem zmieniać mych zasad i mych zdań, Fryderyku. Wiesz o tem dobrze.

Miller nagle zatrzymał się i zwrócił do siostry. W jego małych oczkach błyszczały pioruny.

— Co to znaczy? — zawołał.

— To znaczy, że kiedy nie chciałam mieć żadnych stosunków z jedyną krewną, nie chcę mieć także stosunków z jej dzieckiem.

— Czy dlatego jeszcze, że ta krewna nie poszła zamaż podług twej woli?

— Nie! dlatego że poszła za Polaka. Ja nie lubię Polaków.

— Mocno są tem zmartwieni Polacy! — zawołał z szyderstwem Miller i dodał: — Bądź jak bądź Mina jest jedynym dzieckiem Augusty i jedyną naszą krewną i obowiązkiem moim jest przytulić ją. Coby świat na to powiedział, gdybym ja, stary Fryderyk Miller, odepchnął sierotę, dziecko mej krewnej, ja który nie mam dzieci i mam majątek! Twoja nienawiść do Polaków, Joanno, jest głupstwem, tak, kapitalnym głupstwem. Ja kocham Polaków, dorobiłem się tu chleba; naród to dzielny i basta. Zresztą Mina jest Niemką. Jej matka była Niemką, a dzieci zwykle są tej co i matka narodowości. Mam nadzieję, że ja pokochasz, Joanno.

Mówił to już spokojniej i z pewną łagodnością, jakby chciał przebłagać siostrę za swe ostre wyrażenia przed chwilą.

Ale na tej surowej, bladej i poważnej twarzy nie było znać żadnej zmiany. Jak przedtem tak i teraz, nie ozlacały swemi promieniami tej cery zeschłej i zawiędłej żadne światła, nie wypływały na wierzch żadne uczucia. Siedziała wciąż nieruchoma, surowa, ponura, jak weielona idea przeznaczenia.

— Zwracam twoją uwagę Fryderyku — rzekła nakoniec, nie podnosząc wcale oczów — że nie jesteś-

my ani tak bogaci, ani tak przyjemni oboje, byśmy mogli trzymać przy sobie młodą dziewczynę, zapewne pustą i wesołą i zapewne bardzo ubogą.

— Naturalnie, że ubogą! — zawołał na to Miller — zkażdeby miała być bogatą? I dobrze odgadłaś Joanno. Jest ona bardzo wesoła i pusta trochę. Jej list jest jednym ciągłym śmiechem i niczem nie zachmurzoną wesołością.

— A więc? — podniosła oczy i wpatrzyła się w brata Joanna.

— A więc — rzekł Fryderyk — będzie to bardzo dobrze, jeżeli w nasz był smutny, kwaśny i ponury, to dziecko śmiejące się wniesie trochę wesela. Będzie to tak, jakby do zawsze ciemnej piwnicy wkradł się złoty promień słońca.

Począł znów chodzić po pokoju i puszczał kłęby dymu z cygara z taką gwałtownością, że aż w niem skwierzało, mówił:

— Pod takim promieniem znikną szare, bezbarwne mroki naszego życia, ozłocą się smutne i ponure jego kolory. Sami staniemy się weseli. Będziemy mieć cel życia. Dotąd ciężko pracowaliśmy, teraz poczniemy się bawić. Będiesz z nią i ze mną Joanno chodziła do teatru. Teatr warszawski ma sławę, że jest znakomity. Warto go choć raz obaczyć. Zaremba kilkakrotnie mi mówił, że grają w nim artyści i artystki z ogromnym talentem. On sam podobno pisze jakąś sztukę. Pójdziemy na jego sztukę. W karnawale wydamy bal...

— Bal! — krzyknęła Joanna głosem silniejszym, pełnym nieopisanej grozy — bal! Fryderyku, co też ty mówisz? Czy zapominasz, że nie jesteśmy tak bogaci, byśmy sobie mogli na takie zbytki pozwalać, że nie stać nas na to, byśmy jakąś ubogą, nieznaną nam kuzynkę przyjmowali i dla niej się rujnowali.

— Nie bój się Joanno, nie łatwo starego Fryderyka Millera zrujnować! — rozśmiał się kupiec. — Około miliona gotówki, toć to grosz Joanno. A i sklep też coś wart i co roku będzie on więcej wart. A kamienica? Trzykroć mi za nią dają! Nie bój się, nie zrujnuję się ja. Jestem bogaty i bezdzietny, i chcę resztki mego życia, przepędzonego w ciężkiej pracy, rozweselić sobie nieco.

Zatrzymał się przy stole, wlepił swe siwe małeńkie oczki w siostrę i rzekł tonem suchym i poważnym:

— Lecz dość tego, Joanno. Wolą moją jest, żeby Mina u nas mieszkała. Tak chcę i tak być musi. Zielony pokoiczek kazać dla niej przygotować. Proszę najładniejsze meble tam przenieść. Niech nikt nie powie, że stary bogaty Fryderyk Miller odepchnął swą ubogą jedyną krewnę.

(C. d. n.)

## Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

Gwido podał ramię pani Ewelinie, a uważał to za swoje wyłączne prawo i poprowadził ją przodem do sali jadalnej. Andzia ujęła Henryka za rękę i w poufnej pogadance ciągnęła za sobą. Pochód zamykał papa Kroneg mruczając gniewliwie na nieoprawnego syna, który niejednokrotnie naraził się gospodyni domu swoim sarkazmem.

Pan radca był bratankiem zmarłego męża Eweliny i jakkolwiek rzadko się z sobą widywali mieszkając na dwóch przeciwnych krańcach kraju, ożywioną pomiędzy sobą prowadzili korespondencję. Kroneg dobił się stopniowo i zwolna stanowiska w urzędzie i doprowadził do godności tajnego radcy, gdy tymczasem Rehfeld poświęciwszy się handlowi, w krótkim stosunkowo czasie zrobił znaczną fortunę i wycofał się z interesu.

Rehfeld ożenił się już w 48 roku życia, a żona odumarała go w kilka lat po ślubie, pozostawiając córkę. Po śmierci żony przyjął w dom daleką kuzynkę do towarzystwa Andzi, której zbywało na opiece ręki kobiecej, lecz nim rok upłynął poślubił przybraną opiekunkę dając swemu dziecięciu drugą matkę. Do tego kroku spowodowało go przywiązanie i miłość Andzi z jaką przyłgnęła do Eweliny, która prawdziwą stała się dla niej matką, mimo nieznacznej pomiędzy nimi różnicy wieku. Dwudziestoletnia wówczas Ewelina nie była co prawda stosowną partją dla blisko sześćdziesięcioletniego Rehfelda i nie bez dłuższego namysłu zgodziła się oddać swą rękę oblubieńcowi o tyle od siebie starszemu, ale sierota bez majątku i widoków na przyszłość poszła za głosem rozsądku.

Nie długo cieszył się Rehfeld posiadaniem młodej i pięknej żony, umarł w trzy lata po powtórnym ożenieniu się. W czasie długiej i ciężkiej słabości otaczała Ewelina męża serdeczną troskliwością, spędzając dnie całe przy łóżku chorego. Nadmierne wysilenia i bezsenne noce oddziaływały szkodliwie na wątłe jej zdrowie i pociągnęły za sobą cierpienia piersiowe, które z każdym rokiem groźniejszą przybierały postać. Pobył kilkuletni na południu nie przyniósł spodziewanej ulgi, a w tym roku słabość groźniej wystąpiła jak kiedykolwiek dotychczas.

Radca Kroneg nie bez wyraźnego celu zjechał tym razem do willi Rehfeldów i po raz pierwszy przywiózł z sobą syna. Chodziło o zrealizowanie dawnego układu zawartego pomiędzy nim i nieboszczykiem Rehfeldem, układu znanego pani Ewelinie i przyjętego przez nią przychylnie, to jest poślubienia Andzi Henrykowi Kroneg.

Młodzi przyłgnęli do siebie od pierwszej chwili poznania i stosunek pewnej poufności zapanował pomiędzy parą przeznaczoną sobie na mocy familij-



nego układu. Andzia polubiła Henryka, z którym mogła bujać swobodnie po górach i lasach, śmiała się z nim razem, dąsała czasami, przepraszała się z przyszłym swym panem i mężem i czuła się zupełnie szczęśliwą.

Henrykowi podobała się szczerłość i swoboda kuzynki, jej sposób mówienia bez ogródki wszystkiego co myślała i ta wesołość niekłanana, która odpowiadała jego usposobieniu.

Po obiedzie zaprosił radca syna swego na poufną rozmowę.

— Bój się Boga, Henryku! kiedy ty się nareszcie ustatkujesz? proszę, naponinam, grożę... ale wszystko na próżno. Byłeś nieponiem i jesteś nim po dziś dzień, ale to się musi raz skończyć... Zapowiadam ci po raz ostatni, że moja cierpliwość już się wyczerpała. Zapamiętaj więc sobie i zastosuj się do tego! — perorując, chodził radca wielkimi krokami po obszernym salonie i zwracał się co chwila do Henryka, który odwrócony twarzą do okna, wybębniał palcami jakiegoś marsza.

Odsapnąwszy, zabierał się papa Kroneg do dalszego ciągu kazania, ale uprzedził go Henryk.

— Ma ojciec zupełną słuszność! jestem niepoprawny — odpowiedział, zwróciwszy się do ojca.

— Przyznajesz? — zapytał radca, zdziwiony tak niespodziewanym zwrotem.

— Przyznaje!

— Odpowiedz mi więc na jedno pytanie: Co z ciebie będzie?

— Wie ojciec, że odpowiedź niełatwa. To wiem tylko, że wzorowym urzędnikiem chyba nigdy nie będę... nie mam najmniejszej ku temu zdolności.

— Powiedz, że nie masz chęci, a powiesz prawdę. Jesteś najmłodszym urzędnikiem w ministerjum, z płacą, która ci nie wystarcza na drobne twoje wydatki; wiesz, że majątku nie dostaniesz, więc na co ty liczysz? Coby z tobą było, gdyby nie przypadkowe szczęście, które ci daje w rękę krociowy majątek z młodą i ładną żoną?

— Nieby nie było. Musiałbym się przebijać przez świat o własnych siłach.

— Jakbyś był stworzony do tego! Ty i o własnych siłach... nie daj się wyśmiać. Dziękuj Bogu, że masz zapobiegliwego ojca, który o tobie myśli. Może Andzia zrobi z ciebie innego człowieka, bo co do mnie, straciłem nadzieję, żeby mi się to udało. Kochasz ją przecież? bo o niej nie wątpię. Patrzy w ciebie jak w obraz.

— Jesteśmy z sobą dobrze. Ale ojciec mówi o naszym małżeństwie, jak o rzeczy mającej się dokonać w najbliższej przyszłości — przeciw takiemu gwałtowi protestuję. Umowa stanęła pomiędzy mną i ojcem, że jeszcze jeden rok mam używać swobody kawalerskiej i dopiero po upływie tego terminu podać kark w jarmzo małżeńskie.

Papa Kroneg załamał ręce, potem wznosił je w górę, jakby niebo wzywał na świadectwo.

— Co ten człowiek wygaduje? Kark podać w jarmzo! nie potrzeba niczego więcej, tylko żeby pani Ewelina to usłyszała. Ona sądzi, że oddaje Andzię człowiekowi, który będzie wychuchane to dziecko otaczał czcią, poszanowaniem i nieograniczoną miłością, a tu tymczasem...

— Dobrze się wybrała, szukając u mnie tych idealnych przymiotów — wtrącił Henryk z wybuchem głośnego śmiechu.

Radca stracił cierpliwość do reszty. Przesunął ręką po łysawej głowie jeżąc resztki włosów, a spojrzawszy groźnie na syna, wyrzekł:

— Czy nie przestaniesz udawać błazna? Więc w odpowiedź na tę prawdziwie macierzyńską miłość nie znalazłeś nic innego?

— Mój ojcie! zdawało mi się, że odpowiadam właśnie w myśl sądu, jaki masz o mnie. Głosisz zawsze, że jestem nieponiem, lekkoduchem i tam dalej... a tu naraz mam być owym idealnym opiekunem i kochającym mężem...

— Nie wiem jak odpowiem przed nieboszczkiem Rehfeldem, że los jedynej jego córki złożyłem w takie ręce! — wyrzekł radca z ciężkim westchnieniem.

Na twarz Henryka wystąpił rumieniec, a w głosie czuć było pewne rozdrażnienie, gdy odpowiedział:

— W istocie, że nie pojmuję ojca. Uważasz mnie za straconego syna, który zeszedł na bezdroża i przypisujesz mi... niech nie użyję właściwego wyrazu. Cóż takiego zrobiłem? Kilka lub kilkanaście szaleństw, które każdy w moim wieku popełnia, parę nocy nieprzespanych, trochę długów, za które błagałem w pokorze o przebaczenie... Czy to takie straszne zdrożności, że każą wątpić o moim charakterze?

— Więc to nic nie jest? drobnostki, o których nie warto wspominać? nie ma co mówić, daleko zaszedłeś. Chłopcze! jesteś na złej drodze, nawet Hellmar twierdzi...

— Gwido? — zapytał Henryk z gniewem w oku.

— On także należy do chóru potępiających mnie?

— Przeciwnie! bronił i uniewinniał cię w obec pani Eweliny ze zwykłym sobie wyrozumieniem. Dziwię się doprawdy tej jego względności dla ciebie, zwłaszcza, że ty na każdym kroku dogryzasz mu i natrząsas z niego i z jego genialnych utworów.... Inny, mniej zarozumiały, dawno byłby przyszedł do przekonania, że Hellmar jest utalentowanym poetą, który dojdzie wysoko, i że zaszczyt ci czyni, przypuszczając do swej przyjaźni.

— W takim razie powinienbym sobie poczytać za zaszczyt, że mi się narzucił ze swoim towarzystwem. Ledwie zasłyszał, że wyjeżdżam do Willi Rehfeld, zachciało mu się zwiedzić Alpy. W kilka dni zjawia się tutaj, niby to do mnie w odwiedziny, nad-

używa udzielonej mu gościnności i zamiast wyjechać z obcego sobie domu, „uprawia wysoce romantyczną przyjaźń dwojga dusz pokrewnych“. Pani Ewelinie może się to podobać, bo sama jest marzycielką o wielce idealnym nastroju, ale mnie obrzydły te rymowane kwilenia i westchnienia, a już to bezustanne magnetyzowanie samej pani Rehfeld melancholijnie-powłóczytym wzrokiem jest co najmniej nieodpowiednie, jeżeli nie zuchwałe. Nie mogę tego znościć.

Henryk zapalał się w miarę jak mówił, a przy ostatnich słowach nogą tupnął.

Radca spoglądał na syna ze zdziwieniem i nie umiał sobie zdać sprawy, dla czego holdy Hellmara skierowane do pani Eweliny wprowadzają Henryka w taki gniew.

— Cóż cię to obchodzi? — zapytał po chwili.

— Właściwie nie mi do tego — odpowiedział Henryk pospiesznie i obrócił się do okna, przygryzłszy wargi.

— Gdyby tu chodziło o Andzię, w takim razie rozumiałbym twoje rozdrażnienie, ale pani Ewelina? Czy zazdrościsz jej tych kilku chwil „jaśniejszych, które opromieniają krótkie już dni jej żywota? Mógłbyś także być nieco innym względem niej. Zachowujesz się dziwnie obojętnie, nie nazywasz jej inaczej tylko panią dobrodziejką i ostentacyjnie starasz się unikać wszelkiej z nią styczności.

— Mam jej może mówić: ciotko Ewelino? — zapytał Henryk.

— Dlaczegoż nie? Jest wprawdzie młodszą od ciebie o kilka lat, ale była żoną twego wuja i będzie twoją świekłą.

— Świekrą? — krzyknął Henryk z zaiskrzonym okiem i postąpił gwałtownie na środek pokoju.

Radca odskoczył w bok i z niedowierzaniem spoglądał na syna, czy przypadkiem nie oszalał.

— Będzie nią przecież! coż więc znaczył ten dziki okrzyk?

Henryk zapanował nad sobą i siłą się na uśmiech, co mu się nie całkiem jednak udało, odpowiedział:

— Ot tak sobie!... Myślałem tylko, czy nie za wielki ciężar wkładacie na Andzię, poruczając jej moje poprawienie. Na pasku wodzić się nie dam, a wątpię, żeby się zdobyła... krótko i węzłowato: rozmyślałem się. Zanadto cenię wolność i swobodę, żeby się już teraz żenił, mam czas pomyśleć o tem za kilka lat.

Teraz brakło już naprawdę papie Kroneg cierpliwości. Palnął niepoprawnemu synkowi drugie jeszcze dłuższe kazanie, zasypał go wyrzutami, nagroził, nawymyślał, ale bezskutecznie. Henryk wybębniał najspokojniej marsza na szybie i nie słuchał nawet co ojciec mówi.

— Panie radco! coż Henryk zawinił, że ściągnął na siebie tak srogi gniew? — odezwał się

głos Hellmara od drzwi. — Wstawiam się za nim i proszę o przebaczenie.

— Bardzo ci dziękuję za opiekę, ale jestem pełnoletni i sam potrafię załatwić sprawę z ojcem bez obcej pomocy — odrzucił Henryk, wzburzony niewłaściwym wnięszaniem się trzeciej osoby do sporu pomiędzy nim i ojcem.

Radca inaczej przyjął wystąpienie Gwidona i zwróciwszy się do niego, ujął go za rękę, którą uściśnął serdecznie.

— Miałem z nim małą przeprawę. Wiesz pan jak jest lekkomyślny i niepoprawny...

— I dlatego chcielibyście mnie oddać do zakładu poprawy, zwanego małżeństwem — dokończył Henryk. — Ale nic z tego. Nie czuję się jeszcze godnym takiego wielkiego szczęścia i bronię się przed niem rękami i nogami.

Papa Kroneg zabierał się do trzeciego kazania, ale Gwido ujął go pod rękę i przeprowadził z wolna do kanapy, poczem zwrócił się do Henryka i łagodnie jął mu tłumaczyć, że nie ma słuszności, sprzeciwiając się woli ojca.

— Źle robisz, mój Henryku! pan radca słusznie doradza szybkie ożenienie się. Andzia jest miłym stworzeniem, z główką i złotem sercem, przytem partja korzystna, odziedzicza podobno połowę ojcowskiej fortuny.

— Tylko trzecią część — ozwał się papa Kroneg. — Ale i ta część jest jeszcze obciążoną pewnymi warunkami. Nieboszczyk Rehfeld powodowany wdzięcznością za troskliwą opiekę jakiej doznawał w czasie słabości, ustanowił swoją żonę uniwersalną spadkobierczynią.

— Pani Rehfeld może więc dowolnie rozporządzać tym majątkiem? — zapytał Gwido.

— Czy cię to interesuje? — wtrącił Henryk krótko i ostro.

— Bardzo! Wszystko co się cię tyczy, obchodzi mnie żywo, a tu idzie o twoją przyszłą rodzinę.

— Pani Ewelina jest samowładną panią całego majątku, tak opieka testament. — objaśniał papa Kroneg. — Ale po jej śmierci przechodzi majątek na Andzię. Mój Boże! zrzekłbym się chętnie całego spadku, gdyby tej zacnej kobiecie można życia przydłużyć. Ktoby się był spodziewał, że tak młodo będzie musiała uleść strasznej słabości, na którą sztuka lekarska nie ma środka. W tym roku bardzo podupała na zdrowiu. Przestraszyłem się, ujrzawszy ją po roku niewidzenia. Miałem nadzieję, że może ten okrzyczany doktor Eberhard co pomoże, przynajmniej podtrzyma ją jakiś czas... ale niesposób zbliżyć się do tego dzika. Biedna kobieta! taka młoda, piękna i skazana na wolną śmierć!

(C. d. n.)

## Z ALBUMU MARJI GROZY. CIERNIE KWITNĄCE.

Gdzie wążka, stroma drożyna,  
Przez skalne pnie się urwiska,  
Cierń swe gałązki rozpina,  
Jak krew z nich kwiatek wytryska.

Ścieżka ta obraz żywota:  
Długa — posepna — daleka  
Ciernie — to ból i tęsknota,  
A kwiat — to miłość człowieka.

Życie nie śpiewka to płocha!  
Kwiat z cierniem — godło tulacze...  
Kto tęskni, płacze, ten kocha,  
Kto kocha — tęskni i płacze...

Dla tego chwila jedyna,  
Chwila, co z niebem nas łączy,  
Łzą się zachwyty zaczyna,  
I łzą wspomnienia się kończy...

*St. Grudziński.*

## DWA WESELA.

*(Humoreska).*

### I.

W pokoiku skromnie umeblowanym przy jednej z pryncypalnych ulic nadpółtawiańskiej stolicy, znajdujemy pewnego dnia po południu dwóch młodych ludzi. Hilary Piórkowski, syn obywatelskiej rodziny z Tarnopolskiego, młody i przystojny blondyn siedział na sofce i wsparłszy się o stolik, ukrył twarz w dłonie, pogrążony w smutnej jakiejś zadumie. Od czasu do czasu podnosił rozmarzone oczy i z miną błagalną spoglądał na towarzysza, jakby szukał u niego rady i pociechy.

Towarzysz siedzącego desperata, gospodarz pokoiku, Bolesław Zamorski, mierzył pokój wielkimi krokami i kręcąc małe wąsiki, uśmiechał się do siebie — jakby go bawiły kłopoty przyjaciela, — to znowu ściągał brwi i marszczył gładkie czoło, jakby myślał nad rozwiązaniem jakiejś zawilej kwestji.

Po chwili przerwał milczenie siedzący.

— Powtórzże raz jeszcze moją smutną relację.

— A dajże ty mi święty spokój nudziarzu! — Przecież dziesięć razy nie będę opowiadał rzeczy tak prostej!

— Ale bo widzisz — w głowie mi się nie może pomieścić, ażeby los takiego mi figla wyplatał i to w chwili, kiedy już byłem prawie u celu. Od trzech dni łączę za nią jak cień, straciłem sen i ape-

tyt, w biurze nie nie robię, a teraz, kiedy sądziłem, że się do niej zbliżę — nie! to okropne! Cóż mówiły twoje kuzynki?

— Ja bo w tej całej sprawie nie widzę nic nadzwyczajnego — odparł Bolek. — Zastanówmy się tylko trzeźwo nad sytuacją. Przed trzema dniami zobaczyłeś na wystawie pannę, która zrobiła na tobie wrażenie. Przypuśćmy, że tak jest, że zobaczywszy, zakochałeś się po uszy, jak jaki bohater z powieści. Przypuśćmy, powiadam, — bo chociaż stanowczo oświadczam, iż nie wierzę w owe z błyskawiczną szybkością rodzące się uczucia, to niech już i tak będzie. Ale idźmy dalej. Wczoraj ujrzałeś panią swoich myśli w towarzystwie moich kuzynek, wpadasz jak bomba do mnie, wypędzasz mnie z własnego pomieszczenia i wysyłasz na zwiady. Nalatałem się jak koń dorożkarski, przyniosłem żądane wiadomości, wiesz teraz, kto ona, ta twoja nieznajoma, z kąd przyszła i po co, — a ty zamiast mi podziękować za przysługę, wpadasz w czarną rozpacz i dla czego? Oto, że panna odjechała. Wielkie rzeczy! Ja na twojem miejscu wiesz co bym zrobił?

— Ciekawym?

— Pojechałbym za panną, poznał, oświadczył się i kwita.

— Oszalałeś? Ależ pomyśl tylko, że ja w Hutach nigdy nie byłem, państwa Rosoczyńskich nie znam, a gdyby nawet, to tak bez pretekstu...

— Mam — zawołał z tryumfującą miną Bolek. — W Balinowie, wiosce o milę od twojej bogdanki odległej, mieszka jeden z moich kolegów szkolnych. Jedź do niego.

— Ale jakżeś? Gdzież! ty widocznie kpisz sobie ze mnie, albo...

— Posłuchaj naprzód! Kolega, o którym mówię, jest najpocziwszą pod słońcem duszą, ale safandula jakich mało. Rachując na to, wmówimy w niego, że i ty jesteś jego kolegą. Nauczę cię, co masz mówić, jak się masz zachować, a jeżeli nie przyjmie cię z otwartymi rękami, — no to wystawisz mi patent na co sam zechcesz. No cóż — zgoda? A teraz siadaj i pisz. Bo przecież trzeba uprzedzić Hopsiewicza o przybyciu.

I nie czekając czy p. Hilary zgodzi się na podany projekt, poszukał usłużny Bolek przyrządów do pisania, postawił je przed siedzącym, a widząc, że ten się waha, wetknął mu pióro do ręki i począł dyktować:

Szanowny Kolego!

„Zkąd mu się wzięło pisać do mnie“ — zawołał zdziwiony drogi towarzysz lat młodzieńczych, odczytawszy moje nazwisko. A może i ono już Ci wypadło z pamięci? Wszakci to już lat dziesięć ubiegło, odkąd się rozeszły drogi naszego życia. A chociaż mówią, że wspomnienia z czasów szkolnych najdłużej tkwią w pamięci, to przecież... Lecz nie chcę posądzać Cię o to i dlatego udaję się do Ciebie z tą

samą ufnością, jak ongi, kiedy to razem płataliśmy figle studenckie, i razem braliśmy za nie baty od pocziwych lecz surowych OO. Bazylianów Buczackich. Rzecz jest taka:

„Ukończywszy studja prawnicze, wstąpiłem do służby rządowej, w której już od kilku lat pozostaję. Gorliwa i męcząca służba biurowa i niezdrowe powietrze lwowskie podkopało moje niezbyt silne zdrowie i dlatego wziąłem z porady lekarskiej kilkotygodniowy urlop. Było to wielką z mej strony lekkomyślnością i dotąd nie pojmuję, jak mogłem się odważyć na krok takiej doniosłości nie pomyślawszy wpierw, co zrobić z otrzymanym urlopem. Nagle szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy: Twój szkolny kolega Hopsiewicz ma wieś. Opisz mu swoje położenie i wyjedź do niego. Nie mamysłając się długo, napisałem i ot prosta geneza niniejszego listu. Wiem drogi przyjacielu, że nie ładnie z mej strony, iż Ci się narzucam, lecz znając Ciebie, wiem również dobrze, że mi za złe tego nie poczytasz i dlatego proszę Cię o wysłanie koni do Zaluca, dokąd najpewniej już jutro przybędzie Twój prawdziwy przyjaciel i kolega

Hilary Piórkowski.

— Teraz — zawołał Bolek — przygotuj wszystko do podróży. List sam wyszł a jutro wstąpię do ciebie, ażeby cię odwiedzić na dworzec. No idźże już! — Albo poczekaj, raczej wyjdziemy razem. Muszę bowiem odwiedzić siostrę, która już od tygodnia bawi we Lwowie, o czem ja dopiero teraz dowiedziałem się od kuzynek. Wszak czuły ze mnie braciszek — co?

— To ty masz siostrę? Nie o tem nie wiedziałem!

— Ba! i jaką!

— Szczęśliwy! — szepnął Hilary jakby do siebie — ja nie mam nikogo.

W pięć minut potem pusto było w pokoju — a nazajutrz pociągiem kolei czerniowieckiej opuszczał Hilary Piórkowski Lwów, żegnany przez przyjaciela, który nie szczędził odjeżdżającemu rad i wskazówek, jak się powinien zachować w obec człowieka, którego po raz pierwszy miał ujrzeć, a w którego trzeba było wmówić, że są towarzyszami z ław szkolnych.

## II.

Pan Jan Kalasanty dw. im. Hopsiewicz był właścicielem piątej części wsi Balinowa. Od lat ośmiu, t. j. od śmierci ojca objawszy na siebie gospodarke, nie ruszał się z Balinowa i chwalił Pana Boga jak umiał. Był to sobie prototyp galicyjskiego hreczkosieja. Jak wszyscy, stękał i on na ciężkie czasy, upadał pod ciężarem rat bankowych, sprzedawał zboże na pniu i nie mógł obyć się bez żydów, chociaż na nich ustawicznie narzekał. W chwili, kiedy rzecz nasza się dzieje, był p. Kalasanty jeszcze kawalerem, miał lat około 30., znajdował się zatem w wieku, w którym przeciętny obywatel szuka sobie połowicy. I w tem nie różnił się nasz bohater od reszty sąsiadów. Chęć

bowiem wiernym pozostać prawdzie, dodaję, że Inci Pan Jan Kalasanty d. i. Hopsiewicz bałamucił się już od dłuższego czasu w pannie Mani, siostrzenicy burmistrzostwa w Hutach. Burmistrzostwo życzyli sobie tego związku i panna nie była od tego, — cóż kiedy kawaler chociaż to niby bywał i czule oczyzwracał a nawet czasem i za rączkę uściśnął, nie mógł się jakoś odważyć na krok stanowczy. Zwlekał z dnia na dzień, a zapytany, dla czego raz już nie skończy, odpowiadał, że jeszcze się nie rozpatrzył, nie wie, czy panna mu sprzyja a nawet nie jest pewny czy uczucia jego dla panny wystarczą dla zapewnienia im obojgu szczęścia w przyszłym pożyciu.

Tak tedy p. Jan Kalasanty dw. im. Hopsiewicz, właściciel piątej części dóbr Balinowa z prawem propinacji i innemi przynależnościami, otrzymał pewnego pięknego poranku list, którego treść nam dobrze znana, wprawila pocziwego szlachcica w ogromne zdumienie. Odczytawszy swoim zwyczajem list z całym namaszczeniem i przesyłabizowawszy ostatnią zgłoskę podpisu, podniósł brwi do góry, jak człowiek, który czegoś pojąć nie może, po tem znowu sięgnął je. a po marsowem czole widać było, że stara się coś sobie przypomnąć. — aż w końcu — snać zmęczony tą niezwykłą pracą — ruszył ramionami, jak znowu zwykł czynić ten, co zdziwiony sam mówi do siebie: „alboż ja wiem?“ — Popatrzył na adres... do niego. Najwyraźniej stoją tam oba jego imiona i nazwisko z dodatkiem sakramentalnego: „Wielmożny Pan i Dobrodziej“. Odczytuje list raz, drugi i trzeci... choć w łeb strzel! Co to być może? Prawda, — chodziłem do szkół w Buczacu. Niemniej prawda i to, że OO. Bazylianie nie żalowali ręki. Lecz Piórkowski... a do tego Hilary, ...nie! dalibóg nie! to chyba jakaś pomyłka. Hm! ale zkadźeby mnie znał u licha? A mozem zapomniał? — Człowiek ma tyle kłopotów na głowie, że nie byłoby nic dziwnego. Ot niedawno np. zapomniałem o imieninach pani burmistrzowej, czego mi darować nie mogła panna Mania.

I ta właśnie okoliczność była decydującą. Bo jeżeli mógł zapomnąć p. Kalasanty o dniu tyle dlań ważnym, to cóż dziwnego, że i teraz pamięć mu nie dopisała. Nawet wyrzucił sobie pocziwiec, że mógł zapomnąć o przyjacielu lat młodzieńczych, z którym razem żydom bili okna. Toż postanowił przyjąć go z otwartemi rękoma i z niecierpliwością oczekiwał dnia i godziny, w której miał przybyć kolega.

## III.

Drogi mój Bolku!

Twój pomysł był boski — Twoja rada genialna a Twój szlagun najzacieńszy i najlepszy z wszystkich kolegów. jakich kiedykolwiek ziemia na sobie nosiła. Kiedyś mi radził wyjechać do zupełnie obcego człowieka i przyznawszy się do koleżeństwa — prosić go o gościnność, sądziłem, żeś oszalał albo przy-

najmniej znajdujesz się na najlepszej drodze do Kulparkowa. Tymczasem... lecz posłuchaj raczej i sam osądź o reszcie. Pomijam milczeniem moje myśli, kiedy zbliżałem się do celu podróży. Nie wspominałem również ani słówkiem o tem, że przez całą drogę zadawałem sobie pytanie: Ażali będą dla Ciebie konie na stacji, czyli też picchotą pójdiesz do Balinowa? Milczę w końcu i o tem, że kiedy w eleganckim faetoniku zbliżałem się do Balinowa, tak mi się jakoś głupio zrobiło, że już chciałem zacząć nawracać i uciekać. Lecz już było zapóźno. W tej bowiem chwili wjechałem w aleję topolową, potem na małe podwórko i — konie zatrzymały się przed gankiem. Nie ma rady — myślę sobie — trzeba wypić, co się nawarzyło. Najbardziej obawiałem się pierwszego spotkania t. j. odświeżenia znajomości z człowiekiem, którego w życiu się jeszcze nie widziało. Możesz sobie zatem wyobrazić, jak bardzo byłem kontent, kiedy poczciwy Hopsiewicz, — ta zacna dusza, usłyszawszy turkot bryczki, wybiegł naprzeciw i nie mówiąc słowa, porwał mnie w swoje potężne ramiona, podniósł całego do góry i ścisnął i całował tak serdecznie i czule, jak gdyby się pieścił z kochanką, którą po długiej rozłące nareszcie odszukał. A kiedy się zmęczzył i ja zsunąłem się na ziemię, odskoczył w tył i przypatrując mi się z uwagą zawołał cały rozpromieniony: Ani na włos — jak Boga Kocham! A bałem się — czy uwierzysz? — bałem się, że Ciebie nie poznam. Mój Boże! jakby to można zapomnąć drogie rysy przyjaciela lat młodzieńczych. Kochany! Poczciwy! Ale chodźże! rozgość się u mnie — i mówiąc to wprowadził mnie tryumfalnie do pokoju. Tak więc zostały pierwsze lody przelamane. A kiedy, nauczony przez Ciebie, opowiedziałem przy obiedzie kilka jego „kawalków“ z studenckiego życia, kiedy mu wspomniałem o sławnej jego wyprawie na „rendez-vous“ z rudowłosą Ruchlą i zemście kulawego Icka, był tak moeno przekonany, że ten, który te szczegóły opowiada, jest jego towarzyszem szkolnym, iż byłby się rąbał z pewnością z każdym, kto by się był odważył powątpiewać o tem.

Tak więc — dzięki Tobie — zająłem od razu bardzo silną pozycję. Wczoraj i dzisiejszy ranek poświęciłem wyłącznie zrekonoskowaniu terenu. Dzisiaj po obiedzie piszę do Ciebie a jutro rozpoczynam kroki wojenne, o których skutku nie omieszka Cię uwiadomić.

Twój wdzięczny

Hilary.

P. S. Ciesz się przyjacielem! Szczęście moje bez granic. Jutro ją zobaczę! W tej chwili wrócił Kochany Hopsiewicz z pola i oznajmił, że jutro t. j. 15. sierpnia zawiezie mnie do Hut i wprowadzi do pp. Rosoczyńskich, których kuzynka panna Mania, obchodzi w dniu tym swoje imieniny. Że nie krzyknąłem głośno na wieść o tem, sam się dziwię. Jak sobie bowiem przypominasz, panna Mania Rosoczyńska, ku-

zynka burmistrza z Hut i moja nieznajoma z wystawy — to jedna i ta sama osoba. Co za szczęście! Nie wiem, jak wytrzyma do jutra

Twój Hilary.

#### IV.

Kochany Bolku!

Wczoraj omal nie oszalałem z radości, a dzisiaj... dzisiaj chciałbym, ażeby ziemia się zapadła a z nią Twój nieszczęśliwy Hilary. Okropność! Powiadam Ci, że jestem — no sam nie wiem już czem jestem i co się ze mną dzieje. Słuchaj i płacz nademną.

Z całym niebem w sercu, wyjechaliśmy wczoraj dobrze już z południa z Balinowa. W drodze dowiedziałem się niektórych szczegółów o domie pp. Rosoczyńskich i pannie Mani, o której głupi Hopsiewicz wyrażał się w sposób, jakby mi chciał dać do poznania, że panna mu sprzyja i czeka tylko rychło ją spotka kolosalne szczęście zostania panią Hopsiewiczową. Byłbym zadławił tego adonisa z wiechciowymi wąsiskami i miną fornała. Lecz słuchaj dalej. Przyjeżdżamy do Hut.

W miasteczku jak w ulu. Zaproszeni na bal krzątają się około toalety; reszta wylęgła na „cesarską drogę“ przypatrzeć się strojom gości i spojrzeć chociaż przez okno do rzęsiście oświetlonych salonów, w których pp. burmistrzostwo i panna Mania w balowych strojach wydają kręcącej się służbie ostatnie rozkazy, jak wódz troskliwy w przededniu stanowczej bitwy.

Nareszcie zjawił się gość pierwszy a za nim jakby procesja posypali się zaproszeni. Biedny „Józienko“ nie mógł dać sobie rady. Pocił się, całował i ścisnął, obcierając ustawicznie siwiejącą łysinę kraciatą chustką, której nigdy nie wypuszczał z ręki.

— He, he, he! usmiechał się dobrodusznie Józienko stojąc w progu. Tego ucałował z dubeltówki, tamtemu uściśnął rękę a trzeciego witał z daleka machając jak chorągwią kraciatą chustką. Panie zaś prowadził do swojej „Siuni“, która stojąc na środku salonu, witała wchodzących z miną zdającą się mówić: Patrzeie! tak przyjmuje was wasza burmistrzowa!

Takie wrażenie odniosłem wchodząc do salonu. Hopsiewicza spotkał zaszczyt nie mały, bo i „Józienko“ wypalił z dubeltówki i „Siunia“ podała mu łaskawie obie ręce, które on z nabożeństwem ucałował. Ja szukałem wzrokiem panny Mani i dziwiłem się, nie widząc jej w salonie. To też skoro mnie przedstawiono wszem wobec i każdemu z osobna, przystąpiłem do Hopsiewicza i spytałem go o solenizantkę. „A chodźże, — niech Cię przedstawię“. I wzięwszy mnie pod ramię poprowadził do fortepianu, przy którym stała panienka tak niepodobna do mojej nieznajomej z wystawy, jak niepodobną jest pyzata, czerwona i trywialna piwonია do królowej kwiatów, cudnie pięknej i poetycznej róży.

— Mam zaszczyt przedstawić pannie Maniusi mojego najlepszego przyjaciela i kolegę szkolnego — słyszę jakby przez sen chrapliwy głos amatora piwonji.

Ukloniłem się — podnoszę oczy i zamykam je znowu. Toż miałyby być moja uroczą nieznajoma lwowska? Ależ nie! stanowczo nie! Tamta słuszna szatynka z kibicią jak u Dyany i czarnymi oczami, w których odzwierciadla się cała jej dusza ognista i szlachetna. A tu — wyobraź sobie: mała, przysadkowata blondynka z twarzą bez wyrazu i oczami, w których chyba Hopsiewicz jeden mógł coś wyszukać. — Domyśliłem się od razu, że zaszła tu pomyłka, której ofiarą padłem najniewinniej w świecie. Z razu posądzałem Ciebie i Twoje kuzynki o zamiar wypłatania mi figla. Lecz nie. Zapytana bowiem panna Mania opowiedziała mi szczegółowo o swoim we Lwowie pobycie, o widzeniu się z Twoimi kuzynkami i to najdokładniej. Z tego sądząc, możesz sobie wyobrazić, w jakim humorze przepędziłem cały wieczór, po którym sobie tyle obiecywałem. Nareszcie odjechalismy. Wróciłem do Balinowa i nie kładąc się wcale — piszę do ciebie z prośbą o wyjaśnienie zagadki. Udaj się do kuzynek, odczytaj im list i proś o radę i pomoc dla Twego najnieszczęśliwszego Hilarego.

P. S. Ten bałwan Hopsiewicz zaręczył się wczoraj z Piwonią.

#### V.

Mój biedny Hilary!

Daruj — ale już dawno tak się nie śmiałem, jak dzisiaj po otrzymaniu Twojego listu. Masz rację, zaszła tu pomyłka i to dosyć komiczna a dla ciebie niemiła. W tym samym dniu, kiedy moje kuzynki spotkały pannę Manię Rosoczyńską, chodziły także bardzo wiele z moją siostrą, która przybywszy do Lwowa za sprawunkami, uprosiła je o towarzystwo i pomoc w tej ważnej dla kobiet sprawie. Kiedy więc wpadłem owego paniętnego dnia do nich i spocony i zdyszany spytałem z kim dzisiaj przechodziły przez rynek, były pewne, że pytam o pannę Manię a nie o rodzoną siostrę i dały mi szczegóły, które Ci natychmiast zakomunikowałem. Reszta wiadoma. Na szczęście — bo zakochani mają szczęście — siostra moja zatrzymała się dłużej we Lwowie i była właśnie u kuzynek, kiedy ja przeczytawszy list Twój, żądałem w Twojem imieniu wyjaśnienia. I ona to rozwiązała zagadkę. Wypytawszy się bowiem, jak wyglądasz — opowiedziała nam wśród ogólnego śmiechu o tem, jak ją przez trzy dni prześladował jakiś mazgaj — całkiem podobny do Ciebie i dziwiła się a nawet i gniewała ją to trochę, że od kilku dni nie widzi koło siebie tego, do którego widoku już się była przyzwyczaiła. Tak więc masz szczęście w nieszczęściu. Dla tego wracaj co rychlej a może co z tego będzie. Stasia (tak się nazywa moja siostra) wolna, jej ser-

duszko nie zajęte, a co do mnie życzyłbym sobie, ażebyś został szwagrem Twego kochającego Cię Bolka.

#### VI.

We dwa miesiące po opisanych wyżej wypadkach byłem proszony za družbę na dwa wesela. Jedno odbyło się w Hutach, a szczęśliwymi nowożeńcami byli Wielmożny Pan Jan Kalasanty Hopsiewicz i panna Mania Rosoczyńska, która w dniu tym ważnym była jeszcze czerwienią i pulchniejszą jak zwykle. Szczęśliwa! W dniu tym bowiem spełniły się wszystkie marzenia jej dziewiczego serca: bo i męża dostała i została panią dziedziczką jednej piątej Balinowa z przyległościami i prawem połowy propinacji. A druga para? — spytacie piękne czytelniczki. A któżby — jeśli nie Pan Hilary Piórkowski z panną Stanisławą Zamorską. Otrzymawszy list Bolka, pospieszył na skrzydłach miłości do Lwowa a przedstawiony przez brata umiał prędko przekonać o swoich uczuciach pannę, dla której tyle wycierpiał.

Nie potrzebuję dodawać, że byłem na obydwóch weselach. Tam to dowiedziałem się o przygodzie Hilarego a co usłyszałem spisuję wiernie ku uciesze łaskawych czytelniczek.

W styczniu 1886.

*Bohdan z Pokucia.*

## Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Był w istocie niedołągą wojskowym, ale z czyjej winy? Matce uroiło się widzieć syna oficerem i wbrew powołaniu, mimo prób i błagania wcisnęła go w mundur, do którego się nie urodził. Wyszedszy za mąż za urzędnika nieszlachcica, nie mogła pani radczyni przeboleć, że stare imię Mühlsteinów zaginie, dlatego zmusiła jedynego syna do służby wojskowej, pocieszając się nadzieją, że gdy się dosłuży stopnia oficera sztabowego, dostanie nadane sobie szlachectwo i do nazwiska ojcowskiego Althaus przybierze rodzinne jej nazwisko von Mühlstein. Ważny zaiste powód, żeby własnemu dziecku zwichnąć karierę i obrać mu zawód, do którego miał wstręt i odrazę.

Nieśmiały z natury i przywykły do ślepej uległości woli matki, niezastanowił się Maks nad następstwami, jakie niewłaściwie obrany, a raczej narzucony mu zawód, może w przyszłości pociągnąć za sobą. Matka kazała wstąpić do wojska, więc wstąpił.

Dopiero po nominacji na oficera wglądnał w siebie i przyszedł do przekonania, że na tem polu nie wiele dokaże; zwątpił w własne siły, zniechęcił się i stał się bezmyślną maszyną, która poruszona toczy się w pewnym kierunku tak długo, dopóki jaka przewodnia ręka nie zastanowi jej.

Czuł całą swoją nicość w zawodzie wojskowym, ale nie miał się przed kim zwierzyć, nikt go nie chciał zrozumieć.

A przecież... jedna istota rozumiała go i kochała, takim jak był, ale o niej nie poważylby się wspomnieć pomiędzy swoimi, musiał milczeniem zaprzeć się tej, którą kochał nawzajem.

Za słaby, ażeby własną wolę przeprzeć w obec matki, za miękki do zwalczania skłonności serca, z którą się musiał ukrywać, wiódł oplakany żywot kłamliwej matce, kłamiąc wybranej serca.

Świadom własnej niemocy nie spierał się z matką i nie starał się tłumaczyć.

Wyszedł na werandę i oddany myślom, które mu sen odbierały, które zatruwały każdą weselszą chwilę w życiu, usiadł na ławce i z liści dzikich winogron, otaczających werandę, układał arabeski. Oddany cały niewinnej zabawce nie spostrzegł zbliżającej się matki, która stanąwszy nad nim i ujrawszy porozkładane, a jednak w pewną symetryczną całość wiążące się listki zapytała:

— Co to ma być z tego?

— Wzór na obrus. Ładnie wyhaftowany byłby prześliczny, o wiele gustowniejszy od tego, który mama sprowadziła z Berlina. Ludzie gorszą się dywanami o ludzkich postaciach, zdaje im się niewłaściwym deptać po ludziach, ale na obrusach haftują czerwonych i niebieskich paziów i nie zwracają uwagi, że często otyły żarłok godzi widelcem w oko takiego pazika...

— Powiedz mi, kiedy nareszcie przestaniesz być dzieckiem? Zamiast oddawać się głupstwu raczej dokończylbyś i oddał kapitanowi rysunki służbowe. Co to było Helenko? Forteca czy mapy?

— Ptaki i drzewa, — odpowiedziała Helena.

— Może na nowy bufet? Za pieniądze, które kosztował nasz bufet, zrobiony według twego rysunku, kupiłabym w magazynie dwa inne z dwiema głowami, a nie z jakimiś jarzynami na narożnikach.

— Marchew, mameczko, to jego ulubiona potrawa, dlatego umieścił aż dwie na bufecie — zauważyła panna Helena i z złośliwym uśmiechem zwróciła głowę do zwierciadła, w którym strojna jej suknia w całość odbijała się okazałości.

Wszedł służący i doniósł, że pan radca czuje się cierpiącym i prosi żonę, aby go usprawiedliwiła przed panem v. Gehrenem.

— Powiedz panu, że ja bardzo proszę, żeby wyszedł do salonu — rozkazała pani radczyni szorstko podkreślając wyrazy.

— Ojciec miał dzisiaj zawrót głowy — zauważył nieśmiało Maks.

— Kto dziś nie cierpi na głowę? człowiek powinien panować nad cierpieniem! — odrzuciła matka z nachmurzonym czołem.

Lokaj zaanonsował: „Pan assesor von Gehren“.

[W tej chwili zawitał słodki uśmiech na twarzy pani radczyni, a Helena pobiegła do stolika na którym stał samowar i poczęła skrzętnie udawać młodą gospodynię.

Gehren skłonił się nisko pani domu i wycisnął oficjalny pocałunek na podanej sobie ręce, powitał sztywnie uśmiechniętą pannę Helenę, uściśnął przelotnie rękę Maksu i zwrócił się do radcy, który wszedłszy do salonu, skinął lekko głową na powitanie.

Radca skarżył się na ból głowy i prosił Gehrena, żeby go miał za wytlómaczonego, jeżeli nie weźmie żywszego udziału w rozmowie. Szanowna połowica starała się wprawdzie osłabić przygnębiające wrażenie, jakie schorzała postać męża sprawiła na gościu i zapewniała, że to tylko chwilowe cierpienie, które przejdzie niebawem, ale twarz pana Althausa zadawała kłam wszystkim jej wywodom. Na zeschłych i wynędzniałych policzkach śmierć wypisała wyrok zagłady i zdawało się, że gasnące, blasku pozbawione oczy lada chwila zamkną się na zawsze.

Przymus, któremu uległ radca Althaus, wychodząc do gościa i fizyczne cierpienie nie usposabiały go do roli, jaką mu wszechwładna małżonka zakreśliła, nie zatem dziwnego, że chłód wiejący od gospodarza udzielił się gościowi a z tego przeszedł na panię.

Dziwnie nieswojsko było im wszystkim, to też i rozmowa rwała się, podtrzymywana sztucznie przez wygadana i zawsze przytomną panią radczynię.

Gehren starał się już z obowiązku gościa wprowadzić trochę życia w automatyczne to kółko, sprzęgnięte na dzisiejszy wieczór.

Opowiadał o pobycie w jednym z kąpielowych zakładów górskich, opisywał oryginalne i ekscentryczne stroje pań bawiących u wód, zachwycał się kapelusikami robionymi z żywych kwiatów, silił się na humor i pewną wesołość, lecz nie szło to jakoś i słowa marły mu na ustach.

Panie udawały wielkie zainteresowanie i wsłuchiwały się z pozorną uwagą, myślą jednak były obce temu wszystkiemu.

Pani radczyni zgłębiała swym rozumem o ile stosunek pomiędzy Helenką i Gehrenem mógł naprzód postąpić, tamta układała w główce kostjum na wzór tych, które Gehrena zachwyciły. Radca ścisnął głowę w wychudłych rękach, wzdychał od czasu do czasu i wodził omdlałym wzrokiem po otoczeniu.

Maks był duchem zupełnie nieobecny temu co się działo wokoło niego. Beznamiętnie gniótł ośrodkę z chleba i urabiał z niej kwiaty i jakieś ornamenta.

Rozmowa, która do kolacji jako tako się wlokła, zaczęła się rwać na dobre, następowały długie i przykre pauzy, których nawet pani radczyni, wprawna w konwersacji o niczem, nie umiała wypełnić.

Po kolacji podniósł się radca, podał gościowi cygaro i przeprosił, że opuszcza towarzystwo, ale ból głowy dojmuje mu niezmiernie, a światło potęguje jeszcze bardziej cierpienie.

Maks wyszedł za ojcem niespostrzeżony.

Gehren ujrawszy się sam na sam z paniami, doznał uczucia pewnej obawy. Unikał starannie takiego tête à tête.

Radczyńi tym razem postanowiła rzeczywiście zrobić krok stanowczy, któryby ją zbliżył do zamiarów powziętych od pierwszego poznania Gehrena.

— Czy nie jesteś cierpiący, panie Romanie? — zwróciła się do Gehrena, nastroiwszy głos na najczulszą melodię.

— Zdaje się pani dobrodziejce! — odpowiedział.

— Widzę to po panu i jeżeli nie cierpisz fizycznie, mogłabym zaręczyć, że ulegasz cierpieniom moralnym. Nie dziwię się zupełnie. Samotność usposabia człowieka do melancholji, dla tego powinienbyś, kochany panie Romanie, pomyśleć o własnym ognisku domowem. Wierzaj mnie, doświadczonej kobiecie, że nie nie leczy tak prędko jak czuła i troskliwa ręka kochającej żony.

Strzał był silny i celnie wymierzony, ale odbił się bez skutku od uzbrojonej w konwencjonalną grzeczność piersi Gehrena.

— Podzielam w zupełności te zapatrywania, ale niestety nie mogę nawet marzyć o czemś podobnem, przynajmniej nie w obecnem mem położeniu... Jakież rękojmie dałbym przyszłej mej żonie pod względem materialnym? Z skromnej płacy asesora zaledwie jeden człowiek może wyżyć w dzisiejszych czasach, a o rychłym awansie ani myśleć przy obecnem przepelnieniu — odparł Gehren grzecznie albo chłodno.

— Nie schodźcież państwo na nudny temat o rzeczach tak prozaicznych. Że też wszyscy panowie urzędnicy podobni do siebie w tym względzie? Liczą i liczą swych poprzedników, kombinują kiedy na nich przyjdzie kolej awansu i zatruwają sobie każdą przyjemniejszą chwilę życia, — wygłosiła Helenka bawiąc się uszczkniętą z bukietu różą...

— Panna Helena nie miała jeszcze sposobności poznać tę prozaiczną stronę życia — odpowiedział Gehren. — Dlatego nie słuszniejszego, że z całą swobodą i bez troski spogląda w przyszłość i byłoby zbrodnią gdyby ktokolwiek dziś już zakłócił ten spokój, narażając panią na kłopoty. — Walkę o byt codzienny należy zostawić tym, którzy ciężar ten zdolają udźwignąć: — wygłosił Gehren na pół mentorskim głosem i powstał zabierając się do wyjścia.

— Krzywdziłbyś pan Helenkę — odrzekła matka, — posadzając ją o brak przejęcia się obowiązkami jakieby na nią włożyły zmienione stosunki. Człowiek któremu oddała swą rękę może być pewnym współczującego serca i tej troskliwej opieki, o której wspomniałam przed chwilą.

— Nikt nie zdolny ocenić tych przymiotów lepiej odemnie — zakończył Gehren drażliwą dla siebie rozmowę i wyszedł skłoniwszy się paniom oficjalnie.

*(Ciąg dalszy nastąpi.)*

## Plotki lwowskie.

Więc znowu jeden tydzień utonął w morzu karnawałowem, znowu jeden tydzień zbliżył nas do smutnej ceremonji posypania głowy popiołem, rozplynął się w mgłę zapomnienia i pozostawił po sobie jedynie kilka falban, sere i rękawiczek podartych. Lecz ten już nie był, jak jego poprzednicy, apatyczny i bezkrwisty. Już nasze lakiery przeszły pierwszy ogień mazurowy, już zmarszczki na ich świecącym licu wskazują na werwę odczuta w nogach. Już dla plotkarza otwarte szerokie horyzonty, już notyska moja ma kilka kartek zapisanych, cóż z tego, gdy każdy z tych skandalików funtem pieprzu osypany, nie nadaje się do niniejszej kroniki.

Opowiem wam chyba przykry a zarazem komiczny wypadek jednego z moich znajomych. Biedaczysko półtora roku pukał do serca panią, półtora roku jak czuły trubadur wyspiewywał przy jej fortepianie i czekał w niepewności jedynie na sposobną chwilę, by z drżeniem w głosie wyznać jej ogrom swego uczucia.

I właśnie sposobność taka zdarzyła się na onegdajszym balu...

Wśród rozkołysanych i namiętnych tonów boskiego walca przyznał się jej do postrzału Erosa, a na prośbę o drobnutką rączkę uczył lekkie uściśnienie dłoni i usłyszał z karminowych ustek ciche odeślanie do mamy.

Jak bomba wpadł do bufetu, a zastawszy tam kilku znajomych, szampanem począł oblewać swą radość.

Za pół godziny tuzin złotych butelek stał z ukręconymi lebkami.

— Galop panowie, galop, danserki czekają — ozwał się w bufecie koguci, zachryply głos aranżera. — Panowie, połowa pań nie tańczy, galop.

Zerwał się nasz młodzieniec, pędem pobiegł do sali, porwał swój skarb w objęcia i w szalonym wirze puścił się wokół.

Niedługo jednak trwała ta galopada, gdyż wir udzielił się głowie, głowa podała go nogom, i — bęc! danserka wraz z danserem znaleźli się na ziemi w najnieestetyczniejszej pozycji.

Zanim nasz niefortunny młodzieniec zdołał się jako tako otrząść z wiru i pozbierać z ziemi, panna zarumieniona uciekła do garderoby i natychmiast odjechała z balu.

Na drugi dzień biedaka służący od drzwi zawrócił oznajmieniem, iż pani nie przyjmuje.

Ot, i koniec historii jednego podartego serca w tym tygodniu. Nie płaczmy jednak nad niem, gdyż w naszym wieku serca latają się łatwiej niż rękawiczki.

*(Plotkarz.)*



18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

18

PIERWSZA KRAJOWA PRODUKCJA  
i  
GŁÓWNY SKŁAD NASION  
**TEOFILA ŁUGKIEGO**

w MEŁNIE, (poczta Strzeliska)

poleca  
wszelkie Nasiona: **JARZYN, TRAW, LUCERNY** francuskiej, **BURAKÓW** pastewnych, **MARCHWI** olbrzymiej w znacznych zapasach z gwarancją za siłę kiełkowania, czystość, prawdziwość podanych odmian,

tudzież obfity wybór:

Nasion kwiatów jednorocznych, zimotrwałych i wazonowych, Sadzonki olbrzymich Szparagów, Pflance karafiolów, Drzewka owocowe i krzewy po bardzo miernych cenach.

Cennik Główny na rok 1886 odseła na żądanie franco.

**KAWY**

w smaku czyste i bardzo dobre

złota pospolita	pół kilo	62 et.
złota, bardzo dobra	" "	66 et.
zielonkawata lepsza	" "	70 et.
" mocna	" "	80 et.

w smaku najwyborniejsze:

zielona aromatyczna	pół kilo	90 et.
zielonkawata, duże ziarno	" "	90 et.
zielonkawata bardzo dobra, gruba	pół kilo	1 zł. — et.
brunatna Jawa, najszl.	" "	1 zł. 05 et.
Mokka arabska, praw.	pół kl.	92 et.

**! Codzień świeżo palona kawa !**

90 et. i 1 zł. 05 et. za pół kilo poleca pod gwarancją

**O. T. Winckler**

we LWOWIE, 1—4  
ul. Teatralna l. 7.

**BIURO  
WYWIADOWCZE**

**KANTOR SŁUG**

ul. Jagiellońska l. 12  
i Rejtana l. 1

pośredniczy w kupnie i sprzedaży dóbr, dzierżawy i realności miejskich.

Poleca służbę z dobremi poleceniami każdej kategorii tak w mieście jak i na prowincji.

Oraz załatwia wszelkie zlecenia w zakres biura wchodzące. 1—6

**CHEMICZNE LABORATORJUM**

aptekarska i chemika

**ADOLFA MUSSILA**

we Lwowie ul. Karola Ludwika l. 7,

przyjmuje wszelkie wytwory chemiczne

i poleca między innymi następujące wyroby.

**Wodę atenską z Chiną** przeciw łupieży we włosach. Flakon 70 et. **Wodę z kwiatów konwalii** (czyli puder w płynie) nsuwa wszelkie plamy i pieg. Flakon 70 et. **Puder fijołkowy** do twarzy, bez żadnych metalicznych domieszek, wybornie przyłoga. Pud. lko 50 et. **Mączka ryżowa** (Poudre de riz) do włosów i twarzy. Pudełko z łabędzikiem 1 złr. Łabędziki po 35 et i wyżej. **Wodę do ust. Mentynę** i Esencje miętową, roślinny proszek do zębów. Łate i t. p. do konserwowania ust, dziąseł i zębów. **Mydła toaletowe** w różnych zapachach od 15 et. **Mydło dziegiotowe Dra Bergera** przeciw wrzutom skórnyim wszelkiego rodzaju 3 et. **Perfemy** własnego wyrobu i z graniczne od 20 et. i wyżej. **Wodę kolonjską** wymienioną po 30 i 50 et

Z uszanowaniem **A. MUSSILA**.

Zamówienia z prowincji uskutecznią się odwrotną pocztą

**Broń myśliwska, wypróbowana**

jedynie nagrodzoną medalem państwowym i dyplomem honorowym poleca

**A. W. MOLNAR** dawniej **T. WIŚNIEWSKI**

rusznikarz we Lwowie, hotel Żorza.

**Lancasterówki** w cenie od 25 złr. do 200 złr.

**Pistolety tarczowe** od 25 złr. do 100 złr.

**Sztuce Expressowe** od 80 złr. do 200 złr.

**Trzylufki** od 100 złr. do 200 złr. 1—6

Reparacje uskutecznią odwrotną pocztą.

Przerabia **Lefoche** na **Lancaster** od 12 do 20 złr.

Patrony wszelkich systemów po fabrycznej cenie.

**Pierwsza Związkowa**

pracownia Robotników stolarskich

**„ZORZA“**

ulica Kopernika l. 17.

Po kilkoletniej egzystencji dało dowód, że roboty wykonane w tej pracowni, wchodzące w zakres stolarstwa wykonywały się jak najakuratniej i na czas oznaczony.

Polecając się łaskawej pamięci Wysokiej Szlachcie i Wielebniemu duchowieństwu, oraz wszystkim interesowanym, dla których wyrób stolarski jest niezbędnie potrzebny, a tembardziej trwałe i eleganckie. Upraszamy o jak najliczniejsze zamówienia tak na roboty budowlane jakoteż meblowe i urządzenia sklepowe, z których się sumiennie i rzetelnie na czas oznaczony wywiązujemy. oraz i ceny najprzystępniejsze. Z poważaniem

1—6

Dyrekeja.

**JAN ŁOBOS**

przedtem

**L. WEIGEL**

ulica Teatralna l. 16.

Mam zaszczyt oznajmić P. T. Publiczności; że posiadam wielki zapas zegarków złotych, srebrnych i celennych różnego rodzaju i najlepszej jakości z pierwszych fabryk, po cenach najumiarłowionych i polecam się jako specjalista do naprawy wszelkiego rodzaju zegarków, zegarów i maszyn grających, również zajmuję się odświeżaniem zegarków pod gwarancją.

Z poważaniem

**Jan Lobos**  
zegarmistrz.





